

Misztal Ewa

Chleb Elfów

Z „Science Fiction” nr 17 – sierpień 2002

Yuenowi Biao, który nie lubi fantastyki

Znacie takich ludzi. Mówią: „dzień dobry” tak, jakby robili do czegoś aluzję.

Przyjrzałem się sąsiadowi z niechęcią. Coś ode mnie chciał, być może tylko potwierdzenia swojej wyższości w rozmowie. Nie dałem mu takiej szansy. Niech się zacai na kogoś innego.

Uśmiechał się głupio i złośliwie. Minałem go z uprzejmym ukłonem, a za plecami usłyszałem szept: „pedał”.

Wzruszyłem ramionami. Nie było sposobu ukryć swej odmienności w tych zapchanych do wypęku mrówkowcach, które tu nazywają domami wielorodzinnymi. Sam nie interesuję się życiem seksualnym swoich bliźnich, no, przesadzam, na pedofila na pewno bym zareagował czy gwałt, i oczekuję tego samego od innych. Wtykać nos w sprawy dorosłych ludzi? Obrzydliwość. Właściwie podglądactwo.

Zakonotowałem sobie starannie, że sąsiad wymaga paru lekcji dobrego wychowania i postanowiłem porozmawiać o tym przy najbliższej okazji z którymś z moich pięknych przyjaciół.

Rozebrałem się i powiesiłem płaszcz w szafie. Przetarłem wszystkie meble, odkurzyłem podłogi i sprawdziłem, czy naprawdę jest czysto. Wanna była trochę zafarbowana tym żółtym świństwem, które tu nazywają wodą pitną, więc dokładnie ją wyszorowałem.

Jeden z moich pięknych przyjaciół powinien pojawić się niedługo i musiałem poczynić odpowiednie przygotowania.

Czysta woda w kryształowej karafce, świeże owoce, kilka świec o ładnym zapachu. Położyłem koronkowy obrus na stole, wyjąłem najlepsze srebra i poprawiłem krzywo wiszący obraz.

Potem zająłem się sobą - umyty i wyskrobany do czysta, w nowym jedwabnym garniturze, z włosami zaczesanymi na mokro do góry, usiadłem i włączyłem Romea i Julię. „Tam, pa dam, pa dam, pa dam bam” szedł motyw Kapulettich, a ja zastanawiałem się, czy naprawdę wszystko przygotowane i czy mój piękny przyjaciel nie poczuje się urażony brakiem starań z mojej strony? Jeden błąd, jedno fatalne posunięcie i okaże się niegodny zainteresowania, którym mnie obdarzono.

Zastanowiłem się też, czy rozpoczęcie tej gry było rozsądne? Czy nie zrobiłem zbyt wysokich nakładów? Czy cel rzeczywiście jest godny takich starań?

Starzeję się, wicie.

To, co kiedyś powodowało u mnie szybsze bicie serca i nie dającą się ukoić tęsknotę, po tylu latach zabiegów oraz, co tu dużo mówić, samotności i bólu, może się przecież okazać tak samo nietrwałe i nieprzydatne jak zabawka z dzieciństwa, na której przecież kiedyś mi zależało jak na życiu.

Moje gorzkie rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi i pobiegłem otworzyć.

Wpłynął do środka jak łabędź. Piękną, pod złocistą burzą włosów, twarz, którą powinna nosić Greta Garbo, rozpromienił uśmiech pełen słodczy.

Uspokoilem się.

Siedział przy stole, który dla niego nakryłem, jadł owoce, które umyłem własnoręcznie, słuchał ze mną Bacha, a potem, zadowolony ze mnie, zaśpiewał.

Słuchałem tego nieziemskiego śpiewu, płakałem ze szczęścia, przeżywałem tysiące istnień, tysiące miłości.

A potem umilkł.

Pomimo bólu ciszy, ukłoniłem się i podziękowałem mu.

- Czy pozwolisz mi pójść z tobą? - zapytałem.

- Nadal nie rozumiem, czemu chcesz zamieszkać tam, gdzie nie ma ludzi - odpowiedział srebrzystym głosem.

- Jestem samotny - wyznałem.

- Odwiedzamy cię przecież - odpowiedział.

- Tak - przyznałem nagle przerażony, że wizyty się skończą.
- Jesteś nam tu potrzebny, Igorze - powiedział łagodnie - bardzo potrzebny.

Nadal nie rozumiałem, do czego im jestem potrzebny. Odwiedzali mnie, śpiewali dla mnie, czasem spełniali jakieś niewielkie życzenie. I tyle. Widywałem ich od dziecka i nie potrafiłem żyć, pozbawiony ich śpiewu, ich piękności, ich kojącej, pełnej miłości, obecności.

A oni, tak naprawdę, niczego ode mnie nie potrzebowali.

- Do czego jestem potrzebny? - spytałem.
- Przyjmujesz nas w swoim domu - odpowiedział enigmatycznie.
- Tak, ale do czego jestem wam potrzebny? - bardzo chciałem to zrozumieć.

Być może spełniając jakieś warunki, uzyskam wstęp do ich świata na stałe?

- Abyś nas znał, oczekiwał nas, przyjmował nas - odpowiedział łagodnie mój piękny gość.

Przelotnie dotknął mojej spuszczonej głowy i wyszedł tak samo cicho jak wszedł.

Westchnąłem, wracając do zimnej rzeczywistości i własnych problemów. Zacząłem sprzątać naczynia, składać obrus, ustawiać krzesła na miejsce. Po chwili znikąd spłynęła na stół fotografia mojego sąsiada obejmującego czule tajska prostytutkę, zrobiona w momencie, gdy nie było żadnych wątpliwości co do jej, a właściwie jego, prawdziwej płci.

Następnego dnia sąsiad wynosił śmieci, gdy wracałem z pracy. Uśmiechnąłem się zyczliwie i zapytałem, czy był na urlopie w Tajlandii. Obdarzył mnie spojrzeniem, w którym furia mieszała się z pierwszymi piknięciami strachu.

- Był pan bez żony? - ciągnąłem uprzejmie.
- Skąd pan wie? - prawie na mnie wrzasnął.
- Wszystkie ptaki o tym śpiewają - powiedziałam czule i zakołysałem biodrami.

Sąsiad nagle się odwrócił i pognął na górę, wysypując po drodze nie wyrzucone śmieci. Zachichotałem do siebie, a w windzie naprawdę się roześmiałem.

Tyle moralności nie byłem w stanie znieść.

Nie spodziewałem się następnej wizyty tego dnia, ani w najbliższej przyszłości, miałem więc wiele czasu do zabicia. Rozmyślałem, do czego jestem potrzebny tym istotom, które czasem uważałem za anioły, czasem za elfy, a czasem za istoty z innego wymiaru. Żaden z nich nie chciał mi powiedzieć, skąd przychodzą, chociaż kiedyś chętnie pokazywali mi swój świat. Ten świat, do którego z taką determinacją chciałem się przenieść. Lothlorien, Zaświaty, Tirnanog, Wyspa Jabłek, miejsce, gdzie nawet maleńkie kwiatuszki w trawie prosiły srebrzystym światłem magii, gdzie pieśń mogła budować światy.

To dla jazdy na jednorożcu ciągle byłem prawiczkim.

Jechałem na nim kiedyś, dawno temu, gdy byłem jeszcze chłopcem. Nigdy nie zapomniałem, jak rozbielona tęcza barw przesuwana się po jego jedwabnych bokach, jak faluje delikatna jak puch mniszka grzywa, jak lśni gwiazda na czubku perłowego rogu w kształcie spirali.

A może dla tej pięknej dziewczyny, tańczącej po trawie bosymi stopami, gdy ja, wówczas piętnastoletni, odpoczywałem nad strumieniem? Widziałem jej odbicie w wodzie, a potem zobaczyłem, że jej włosy falują tak samo jak woda czesana ametystowymi kamieniami brodu.

Wracałem potem na to miejsce, ale jej nie znalazłem.

A potem byłem już zbyt dorosły, by wędrować nietkniętymi kosą łąkami Avalonu.

Tęsknota zmusiła mnie do poszukiwań i spędziłem wiele nocy pod gołym niebem, w miejscach nawiedzanych przez Sidhe, na kurhanach i w dębowych lasach Bretanii. Aż do spotkania w Irlandii.

Czy dobrze wybrałem miejsce, czy też mój upór został wynagrodzony, nie wiem. Moi przyjaciele zaczęli mnie znowu odwiedzać, początkowo płosząc się z powodów dla mnie niezrozumiałych, jak: trochę kurzu pod meblami, niewłaściwa muzyka czy brak kwiatów.

Wreszcie osiągnęliśmy jakieś porozumienie, a ja bardzo się starałem, by czymś ich nie zrazić.

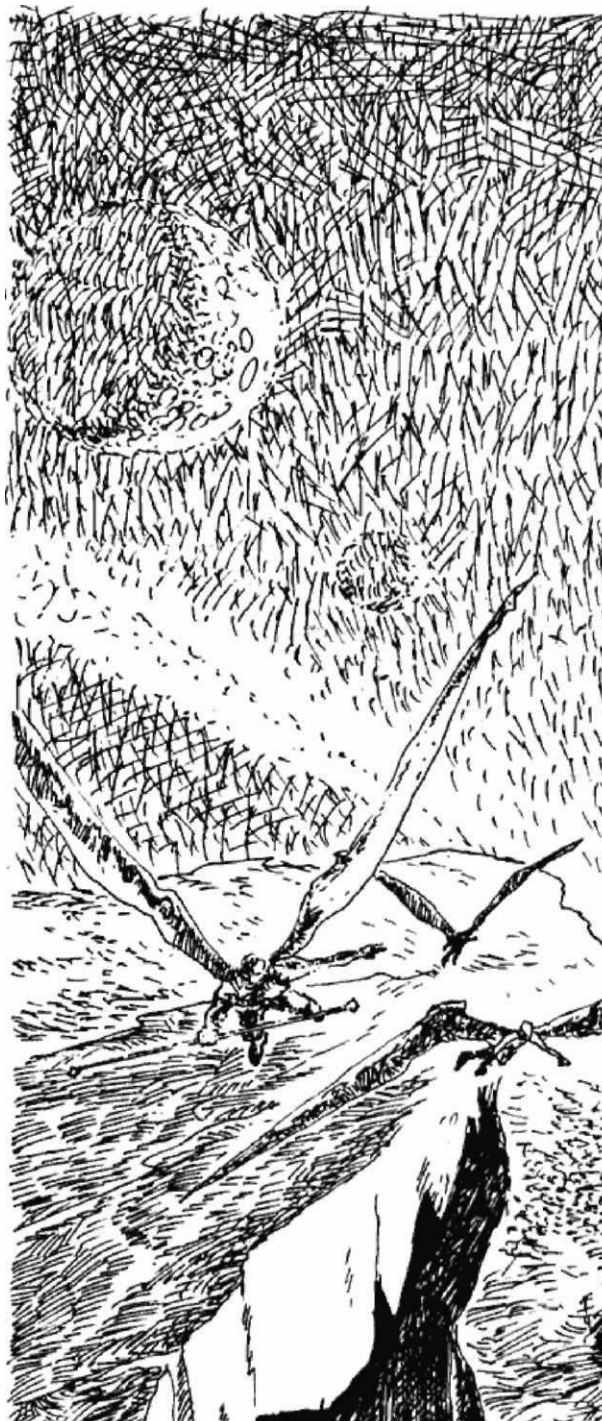
Długo czekałem na ponowne odwiedziny. Starałem się żyć własnym życiem, pracowałem, słuchałem muzyki, pisałem wiersze. Dużo czytałem. Zastanawiałem się, czemu akurat mnie udało się wejść do tamtego świata, czemu nie udaje mi się tam wejść teraz i czy nie byłoby lepiej, gdybym kiedyś z tym dał sobie spokój.

Pewnego wieczoru zapukał do mnie mój niesympatyczny sąsiad. Odwracając ode mnie twarz i nie mogąc spojrzeć mi w oczy, wypytywał, od kogo dowiedziałem się o jego wakacjach w Tajlandii. Gotów był za tę informację wiele zapłacić.

Nie mogłem powiedzieć prawdy, co zresztą mu wyjaśniłem. Powiedziałem tylko, że nikt nie będzie próbował szantażować go tą wiadomością. Że zrobiłem mu ten kawał, bo byłem oburzony jego stosunkiem do mnie.

Okropnie się rozżołościł. Krzycząc jak oszalały, oskarżył mnie o podrzucanie mu podrywających jego autorytet zdjęć do biurka w pracy. Pytał mnie, czy wiem, że ma możliwości „odegrać się za ten numer” i że „policzy się ze mną, tak jak ze swoją żoną, tą dziwką, z którą jestem w zмовie”.

Zrozumiałem z tego, że fotografia prostytutki zaczęła się pojawiać również w jego domu.



Usiłowałem mu wyjaśnić, że nie mam z tym nic wspólnego, że nie znam jego żony i że powinien o tym dobrze wiedzieć. Ponieważ nie chciał się uspokoić, poprosiłem go, by sobie poszedł. Nawet nie zauważyłem, kiedy mnie uderzył.

Następną rzeczą, którą pamiętam, były twarze moich przyjaciół pochylone nade mną. Jedna z nich należała do bosonogiej tancerki. Nie zmieniła się ani na jotę. Czas nie miał władzy nad jej młodością. Patrzyłem w jej przerażone oczy, napełniające się łzami.

- Nie umieraj, ojcze - płakała. Nie rozumiałem. „Ojcze”?

- Jeśli umrzesz, zmienimy się w cienie - wyjaśnił stojący obok, ten, którego nazywałem Elohiem - bez ciebie, bez takich jak ty, którzy żywią nas swoją wiarą i przywiązaniem, powoli wysychamy.

- Ty dajesz nam życie - płakała moja tancerka - nie umieraj!

Ktoś wsunął mi coś w dłoń.

Brałem ich za wyższe istoty, służyłem im, uwielbiałem ich. Czyż nie byłem ich ojcem? Czy właśnie nie tak odnosi się ojciec do swych dzieci? Uśmiechnąłem się, chociaż z trudem, bo twarz bardzo mnie bolała.

- Znajdę wam więcej kochających serc - przyrzekłem

I zamknąłem oczy, wsłuchując się w swój ból. To właśnie on wyrzucił mnie tam, gdzie czułem się związany i unieruchomiony.

Białe sufit, stonowany błękit plastyku, cienie za plastykiem. Parawan.

Usiłowałem się poruszyć. Nadal miałem coś w dłoni. Znow ktoś pochylił się nade mną.

- Odzyskuje pan przytomność? To dobrze - powiedział męski głos.

- Co? Co się stało? - wymamrotałem.

- Złamana podstawa czaszki - wyjaśnił ten sam głos - cieszę się, że wciąż jest pan z nami.

Ciepła dłoń dotknęła mojej.

- Co pan tu ma? - zapytał ze zdziwieniem. Coś wyslizgnęło mi się z ręki. W moim polu widzenia pojawiły się mocne, grube palce, porośnięte gęsto ciemnymi włoskami a w nich jak klejnot pobłyskiwał błękitny kwiatusek. Magia unosiła się z niego jak tysiące mikroskopijnych mydlanych baniek. Pękały z cichutkim odgłosem szklanej pozytywki, a na ich miejsce pojawiały się nowe.

- To ar nisfodel, księżycowy dzwonek - wyjaśniłem z uśmiechem. Uśmiech też mnie bolał.

- To jakaś zabawka? - zapytał doktor, ale w jego oczach pojawił się ten dziecięcy głód, który tak dobrze znałem.

- Niech pan sprawdzi, to żywa roślina - odrzekłem.

- Niemożliwe - powiedział, z czułością głaszcząc błękitne płatki.

- Możliwe - wymamrotałem - niech pan pokaże go wszystkim, których pan zna. Dam im takie same. W Elflandzie jest ich mnóstwo.

W prokuraturze powiedziałem, że nie oskarżam sąsiada o napad i że był to nieszczęśliwy wypadek. Potem wyjechałem na rekonwalescencję nad morze.

Chodziłem na spacer, opalałem się, zastanawiałem czy wymyślony przeze mnie nieśmiertelny kraj rzeczywiście może umrzeć wraz ze mną? Nie zawierałem znajomości, ale jakoś tak, przypadkiem, ciągle trafiałem na życzliwe osoby, z którymi przyjemnie było zamienić parę słów. Mój introwertyzm stawał się naprawdę niewygodny. W końcu przestałem być taki staranny w utrzymywaniu nienaganej czystości.

Po kilku dniach wypełnionych ostrym słońcem przyjąłem z ulgą zachmurzenie. Poszedłem przejść się leniwie nad brzegiem i, gdy tak pochylałem się w poszukiwaniu małych bursztynek, ktoś obok mnie zawołał:

- Patrzcie, tam!

Wyprostowałem się i poszukałem właściciela głosu wzrokiem. Wskazywał coś na horyzoncie. Spojrzałem i ja. Wyspa?

Dumne wieże wznosiły się nad wyciętymi w koronkę zwieńczeniami murów, uniesione prawie do nieba przez wysokie wzgórza. Znaczyły się na tle prześwietlonych słońcem chmur wyrazistą czernią dziewiętnastowiecznych wycinanek, ale na ich szczytach jasno połyskiwały światła, przywodzące na myśl gwiazdy. Tęczowe proporce falowały leniwie ponad tymi światłami, a wyhaftowany na nich jednorożec zdawał się galopować jak żywy.

Jeszcze przed godziną nic tam nie było.

Ludzie podbiegali do brzegu, niektórzy wchodzili do morza. Kilka żaglówek przyjęło kurs na wyspę. Bałem się, że zniknie zanim dopłyną, ale myliłem się.

Wpierw przestraszyłem się, myśląc o laboratoriach, wiwisekcji i tak dalej. Ale potem przypomniałem sobie, że kraina potrafi bronić się sama. A jeśli nawet jedno z moich dzieci umrze w rękach specjalistów NASA, czy kogoś tam, takie potwierdzenie naukowe istnienia Elflandu zapewni reszcie prawdziwą nieśmiertelność. Bo jeśli wiara w ich istnienie jest chlebem elfów, stwórczym cudem będzie nasza pewność.